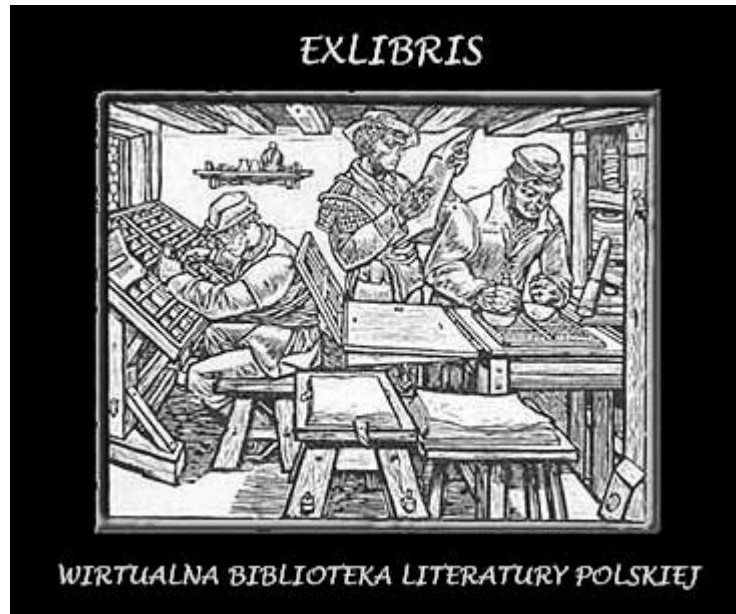


George Gordon Byron, *Giaur*.

Przekład Adam Mickiewicz



Adam Mickiewicz

Giaur. Ułamki powieści tureckiej z Lorda Byrona.

JULIANOWI NIEMCEWICZOWI

w dowód głębokiego szacunku

powięca

TŁUMACZ

PRZEMOWA TŁUMACZA

O wpływie Byrona na całą tegoczesną literaturę przekonywają się co dzień czytelnicy, bo widzą na wszystkich utworach późniejszych barwę i piętno tego wielkiego poety. O zaletach i wadach dzieł jego tyle ksiąg napisano, że z nich można by ułożyć małą bibliotekę; nie myślimy poruszać tej pleśni krytyczno—panegirycznej, głęboko już zasypanej innymi, ważniejszymi polemikami.

Ale tłumacz czuł się obowiązany powiedzieć zdanie swoje o dziełach autora pod jednym przynajmniej względem — pod względem moralnego ich charakteru i dążenia. Wiadomo, iż Byrona oskarżano o bezbożność i antysocjalizm; zarzucano mu, że występnych ludzi wybierając na bohaterów swoich pieśni, robił niejako apoteozę zbrodni; Fryderyk Szlegel nazwał go emisariuszem szatana, a wszyscy zgodzili się, że był apostołem sceptycyzmu.

Wszakże, jeśli sądząc dzieła pod względem sztuki, krytycy zwykli je odnosić do wieku, w którym wzięły początek, porównywać z dziełami spólczesnymi i późniejszymi, należałoby równą zachować metodę oceniając moralny charakter autorów.

Byron był dzieckiem przeszłego wieku; wszedł na świat w epoce moralnej najniebezpieczniejszej dla człowieka, dla poety. Właśnie wtenczas spadała zasłona po pierwszym akcie rewolucji. Straszna walka piśmienna i słowna przecięta została gilotynami i zagłuszona grzmotem wojny europejskiej. Stronnictwa osłabione wzajemnym mordem ustąpiły z placu boju; niedobitków Napoleon rozbroił i wziął na kagańce. Wszystko ucichło. Był to czas dziwnego otrętwienia; o tych wielkich pytaniach, które świat zaburzyły, lękano się już mówić, zaprzestano myśleć. Dzieła wszystkie ówczesne noszą cechę trwogi umysłowej i moralnego upadku. Są to niby rozmowy winowajców zamkniętych w więzieniu, którzy wstydzą się wspominać przeszłość — bo haniebna, boją się pomyśleć o przyszłości — bo okropna, i — bawią się gawędką o pogodzie i deszczu.

Dusza Byrona nie mogła żyć wśród takiej literatury, gwałtem wyrывała się za jej sferę. Młody autor, prześladowany od krytyków, ścigał ich wzajem, a z krytyków sądząc o czytelnikach, zaczął lekceważyć całą publiczność. Po tej kłótni autorskiej z literatami nastąpił rozbrat moralny z ludźmi, którego szczegóły należą do biografii.

Zalśniony gniewem, złorzeczając obłudzie,
Choć znał, zapomniał, że są lepsi ludzie.

Korsarz

Odtąd zdało się Byronowi, że człowiek z sercem nie może żyć w towarzystwie, że musi uciec od świata lub mścić się nad nim. Odtąd bohaterów swoich, dzieci duszy swojej, wychowywał na pustyni lub w jaskiniach łotrów.

Ale dzieci Byrona nie są to pospolici zbrodniarze, nie zimni egoiści albo szaleni fanatycy zakochani w swojej przewrotności i głupstwie. Poeta zostawia im jedną przynajmniej cnotę, jedno szlachetne uczucie, które ich mimowolnie z rodzajem ludzkim wiąże, które nie pozwala im pogrążyć się w zupełną moralną ciemność i, świecąc na dnie sumnienia, tym wyraźniej daje widzieć wszystkie jego szczyby i plamy.

Ludzie Byrona mają sumnienie. I tu jest główna różnica między naszym autorem i pisarzami przeszłego wieku. Przeszły wiek był sofistą, a więc — nie znał różnicy złego i dobrego, ćwiczył się tylko w rozumkowaniu i za cel sobie położył: ze wszystkiego

wytłumaczyć się, a raczej wygadać. Typem przeszłego wieku jest Panglos* Woltera. Ten Panglos, francuski Hiob, w największym spodleniu moralnym nie traci dobrego humoru; walając się w śmieciach i wypluwając zęby, zawsze pyszni się i cieszy się, że był i jest filozofem. Ludzie Byrona gardzą taką sofisteryą, czują, że są winni, cierpią; duma tylko nie dozwala im błagać przebaczenia, a czytelnik czuje, że do poprawy brak im tylko — czasu, bo wszyscy zbyt szybko giną. Czytelnik pewny jest, że Giaur ani Korsarz, ani nawet Don Juan nie skończyliby jak Panglos albo Foblas. I sceptycyzm Byrona różny jest od tej obojętności na wszystko, co jest wysokie i piękne, od tej zwierzęcej nieczułości, którą sofiści ochrztili sceptycyzmem, a która jest tylko dobrowolną głucho—ślepotą. Cała filozofia przeszłego wieku dążyła do tego, ażeby ludzi już pochlebstwem odwieść, już groźbą i śmiechem odstraszyć od poszukiwania prawd wyższych i zasadniczych, ażeby wmówić, że te prawdy albo są do pojęcia niepodobne, albo niewarte dochodzenia. Byron pierwszy z poetów nie dał się zaspokoić taką sofistyczną kondemnatają myślenia i uczucia. Wielka zagadka świata, zagadka przeznaczeń rodu ludzkiego, przyszłego życia, stała mu zawsze przed oczyma. Poruszył on wszystkie zasadnicze pytania moralne i filozoficzne, pasował się ze wszystkimi trudnościami dogmatów i tradycji, kłął i dąsał się jak tytan Prometeusz, którego cień tak często lubił wywoływać. Nie rozwiązał sobie zagadnienia, nie uspokoił duszy; ależ mu brakło, równie jak jego bohaterom — czasu! Może dlatego tylko nie sprawdziła się przepowiednia Walter—Skota.

Nie był tedy Byron kontynuatorem przeszłego wieku; owszem, powiedziec można, że ruch umysłowy, dążący ku sofisteryi, on jeden na drodze literatury zatrzymał i wstecz zawrócił. Odgłos powszechny nazwał Byrona Napoleonem poetów, również Napoleona uznano za jedyne go poetę Francji. Wiele wieków minie, nim się znajdzie ręka, która by jedno z tych bereł dźwignąć mogła.

Uważano, że w dwojakim sposobie sceptycyzm ukazuje się na świecie: raz jako mrok wilgotny i zimny, wróżący noc długą; drugi raz jako te chwilowe ściemnienie porankowe, połączone z powiewem orzeźwiającym, które zapowiada dzień. Byron wyobraża tą drugą epokę sceptyków, niepewnych w swoim dążeniu, ale pełnych ducha i rzeźwości.

* Po polsku: Wszystkomowny albo Najjęzyczliwszy.

PRZEMOWA AUTORA

Rozerwane ułamki niniejszego poematu składają powieść o smutnych losach branki muzułmańskiej, która za niewierność ukaraną została sposobem tureckim, utopiona w morzu, i której zgonu pomścił się kochanek jej, młody Wenecjanin. Zdarzenia podobne trafiały się dawniej często na Wschodzie; teraz rzadsze. Może kobiety muzułmańskie nauczyły się więcej ostrożności, może chrześcijanie mniej są teraz pochopni do śmiałych przedsięwzięć miłosnych i mniej w nich szczęśliwi. Zdarzenie, które jest treścią naszej powieści, odnieść należy do owych czasów, kiedy Wyspy Jońskie ulegały panowaniu Rzeczypospolitej Weneckiej, kiedy Arnauci, na chwilę wyparci z Morei, znowu, po bezskutecznym wtargnieniu Moskalów, zaczęli ją plądrować. Wiadomo, że odstrychnienie się Majnotów, obrażonych tym, że im zabroniono Mistrę rabować, ściągnęło nowe klęski na Grecyją. Kraj ten stał się naówczas teatrem okrucieństw, których przykład trudno znaleźć, nawet w dziejach prawowiernego ludu muzułmańskiego.

Umilkły wiatry, ciche lśnią się fale
Przy grobowcowej Temistokła skale,
Która wyniosłym niebo czołem bodzie
I z góry patrząc na morza i smugi
Najpierwsza wita lądujące łodzie.
Kiedyż się zjawi Temistokles drugi?

* * *

Wyspy szczęśliwe! w każdej porze roku
Zarówno miłe i sercu, i oku,
Gdy was przychodziń z gór Kolonny wita *,
Wraz nagły urok źrenice mu chwyta
I myśl pogrąża w dumy tajemnicze.
Tu szklane morza cichego oblicze
Na falach drobnych, jak uśmiechu dołki,
Gór okolicznych odbija wierzchołki
Strzegące brzegów, z którymi łagodnie
Zdają się igrać rajskie wody wschodnie.
Jeśli się wietrzyk chwilowy prześliznie
I złamie szyby na modrej płaszczyźnie,
I kwiecie z brzegu przyniesione miota,
Jakaż w tym wietrze wonią i pieszczota!
Tam, na skał wierzchu, u ścieku poników
Błyszczą się róża, sułtanka słowików *,
Jej brzmia pochwały kochankowie leśni,
Ona rumieńcem dziękuje za pieśni.
Śliczna i skromna, królowa ogrodów,

Nie tknięta wichrem, nie zwiędła od chłodów,
Nie znając naszych zim niebezpieczeństwa,
Kwitnie świeżością wiecznego panieństwa.
Balsamy, których niebo jej udziela,
W wonnych kadzidłach ku niebu odstrzela,
Niebo wzajemnie co dzień jej użycza
Świetnych kolorów swojego oblicza.
Tam, w polu tyle jest kwiecica dla wianków,
Tam, w lasach tyle cienia dla kochanków,
Tam, groty dla nich ciosane umyślnie;
Dziś morski zbójca w te groty się ciśnie
I z nocą z malej czatuje galery
Na bezpiecznego żeglownika stery.
Skoro miesięczna zabłyśnie pochodnia,
Zabrzmi gitara morskiego przechodnia *,
Zbójca swój rudel zaraz na głąb pędzi
Zakryty cieniem nadbrzeżnych krawędzi,
Zahacza statek, zdobycze rozdziela;
Wrzask konających miesza pieśń wesela.

Dziwna! gdy kraj ten natura obrała
Na ogród bogów i hojnie nań zlała
Tyle bogactwa, piękności tak wiele,
Jakby we własnym zakochana dziele,
Dziwna! że dzieła własnego się zrzeka
I dziś natura wpuszcza tu człowieka,
Który, odwieczny miłośnik zniszczenia,
Ogród edeński na nowo wyplenia
I jako leśny dzik kwiecie wytłacza,
Nie pokropione znojami oracza

Ani znające ręki ogrodnika!
 Tu kwiecie samo dokoła wynika,
 Za tyle wdzięków, za taką obfitość
 Uprasza tylko człowieka o — litość.
 Dziwna! tu ziemia oddycha pokojem,
 A serce ludzkie — chucią i rozbojem.
 Czyż kraje światła na nowo ogarnie
 Noc namiętności rządzących bezkarnie? —
 Patrząc myśliłbyś, że tu zbuntowani
 Wojsko aniołów zwalczyli szatani,
 I cherubinów trony dziś przywłaszcza
 Tłum, który piekiel wyzionęła paszcza.
 Tak śliczny kraj ten, ojczyzna rozkoszy,
 Tak brzydki tyran, co go dziś pustoszy!

Kto na śmiertelnym oglądał posłaniu *
 Nim dzień przeminał, pierwszy dzień nicestwa,
 Piękne oblicze zaraz po skonaniu,
 Ostatni trudów i bólów jestestwa;
 Nim śmierć ostatnim przyciśnieniem ręki
 Zgładziła rysy, gdzie chronią się wdzięki:
 Kto pomni twarz tę anielsko—łagodną,
 Tak zimno piękną, tak smutnie pogodną!
 Zda się w letargu zasypiać głęboko,
 Zda się być żywą — gdyby nie to oko,
 Gdzie już nie świeci ni łza, ni namiętność,
 Gdzie mieszka zimna, wieczna obojętność
 I straszy widzów, i serca im studzi,
 I z oczu trupa wpada w serca ludzi —
 Gdyby nie wzrok ten, nim pierwszy dzień minie

Nim ta godzina — w tej jeszcze godzinie
Śmierć tak łagodnie, niewidomie władnie,
Że jej tyraństwa nikt zrazu nie zgadnie!

Dziś do tej twarzy Grecyja podobna,
Martwa od dawna, leczr dotąd nadobna;
Jej widok ziębi, jej wdzięk do łez wzrusza,
Bo już piękności nie ożywia dusza.
Jej wdzięk jest tylko uśmiech pozostały
Na chwilę w ustach, co ducha oddały,
A jej rumieniec — chorowita krasa,
Która na trupich licach nie zagasa,
Ostatni odbłysek zachodnich promieni,
Co się wokoło ruiny czerwieni;
Ostatnie czucie, co żegna nadzieję,
Iskra niebieska, która dotąd tleje,
Lecz już swej miłej ziemi nie rozgrzeje.

Ojczyzno mężów nieśmiertelnej chwały!
Każda dolina, każdy wierzch twej skały,
Jakże pamiętne! bo każde z nich było
Kolebką swobód lub sławy mogiłą.
Arko potęgi! dziś, czyliż tak mało,
Czyż tylko tyle po tobie zostało? —
Wstań, niewolniku podły, wstań na chwilę,
Powiedz: ten wąż — czy nie Termopile?—
Ty, z duchów orlich wyrodzony płazie,
Na Leonida gnieźdzący się głazie,
Przypomnij, nazwij tych opok wyżyny,
Zatokę, wyspy — wyspy Salaminy!

Powstań! te dawne, zapomniane boje
Odnów i przywłaszcz, to dziedzictwo twoje:
Z popiołów przodków może wróg rozdmucha
Iskrę, zarodek ich wielkiego ducha.
A kto z was w boju żywota dokona,
Wliczy swe imię pomiędzy imiona,
Na których wzmiankę pochlebstwem pijani
Zwykli się trzeźwić, zwykli drzeć tyrani.
Kto z was ojczyzny z więzów nie wybawi,
Zginie, lecz tyle synom swym zostawi
Sławy, nadziei, że staną się zdolni
Rozerwać jarzmo i umierać wolni!

Walka o wolność, gdy się raz zaczyna,
Z ojca krwią spada dziedzictwem na syna,
Sto razy wrogów zachwiana potęgą
Skończy zwycięstwem. – Grecyja jest księgą,
W której wiekami stoi wypisano,
Że klęska wolnych jest świata wygraną.
Królowie, sławę kupując u cieśli,
Gdzieś bezimienne piramidy wznieśli;
Wolni nie dbają, chociaż czasu fala
Wszystkie grobowce i pomniki zwala,
Większe pomniki zostały nad niemi,
Zostały góry ich ojczystej ziemi.
Tam muza oczom przechodniów ukaże
Groby swobodnych, wolności ołtarze.

Długo by mówić — przechodzić okropnie
Wszystkie od chwały do niewoli stopnie —

Dosyć jest wiedzieć, że nikt nie zagrziebie
 Ducha swobody — chyba on sam siebie —
 Bo własne tylko upodlenie ducha
 Ugina wolnych szyję do łańcucha.

* * *

Mieszkańcy ziem tych! macież wy powieści
 Dawnym podobne? i których by treści
 Natchnęły muzę do polotów szczytnych,
 W ślad muzy greckiej wieków starożytnych;
 Gdy ludzie byli ziemi swojej godni? —
 Dziś, do niczego niezdatni — prócz zbrodni
 Z ognistą duszą, co by mogła siły
 Natchnąć do dzieła godnego pomników,
 Dziś oni pełzną z kolebek w mogiły
 Niewolni — gorzej — słudzy niewolników *,
 Zmazani całą szkaradą, co brudzi,
 Niewiele wyższych nad zwierzęta, ludzi;
 Nie mają nawet tej dzikich odwagi,
 Piersi gotowej przyjąć oręż nagi;
 Tylko rozwożą przez sąsiednie państwa
 Z nowym towarem stare oszukaństwa;
 W tym tylko widać Greków dowcip dawny
 I z tego tylko Grek na Wschodzie sławny.
 Daremnie Wolność tylekroć zaklina,
 Aby skruszyli jarzmo poganina,
 By kark podnieśli, zgięty łańcuchami!

Nie — Grecy! — nie mam litości nad wami.

Przecież z Grecyji wziąłem te powieści,
Z czasów niedawnych i żalosnej treści.

* * *

Z dala, wśród morza pogodnego błyska,
Szybko pod cienie nadbrzeżne się wciska
Statek; rybacy poznali z obrotów,
Że to piratów statek lub Majnotów *;
Chcą z barką swoją w cieniach się przewinać
I brzeg niepewny z daleka ominąć;
Choć im trud dzienny osłabił ramiona,
Choć rybim łowem barka przeciążona,
Silnie wiosłują, rudel krzywią w stronę,
Aż dopłynęli do Porto—Leone,
Gdzie ich noc czeka, noc prawdziwie godna
Kraju wschodniego — cicha i pogodna.

* * *

Kto tam grzmi konno po skalistej drodze? —
Wygięty naprzód, na wiatr puścił wodze,
Kopyt tętenty jak grzmoty po grzmotach
Wciąż budzą echa drzemiące po grotach,

Koń jak kruk czarny, a na bokach piana,
Jak gdyby świeżo z morza zszumowana.
Wieczór już uśpił fale morskich toni,
Ale nie serce tej dzikiej pogoni.
Groźnie na jutro niebo się zachmurza,
Ale groźniejsza w sercu Giaura burza.
Nie znam cię, rodu twego nienawidzę,
Ale w twych licach takie rysy widzę,
Które w pamięci kiedy się raz wrażą,
Z czasem się głębiej werzną, lecz nie zmażą.
Tyś młody, blady, lecz namiętne bole
Gorzały długo na twym smagłym czole.
Złe oko twoje choć mnie nie urzekło,
Choć jak meteor błysnąwszy uciekło,
Zgadłem, że Turek takiego człowieka
Powinien zabić — lub niech sam ucieka.
Tam — tam — poleciał — śladem jego biegu
Szły mimowolnie oczy me wzdłuż brzegu,
A chociaż z taką szybkością prześcignął,
Choć jak latawiec tylko w oczach mignął,
Jego wzrok, jego twarz na kształt pieczęci
Wciśnione czułem w głąb mojej pamięci.
I długo w uchu huk kopyt słyszałem
Czarnego konia lecącego cwałem.

Spiął ostrogami, wbiegł na wierzch opoki
Ocieniającej głębinę zatoki,
Obleciał wkoło, znowu na dół gonił,
Skałą od moich oczu się zasłonił.
Zgadłem, dlaczego: temu, co ucieka,

Jest obrzydliwą źrenica człowieka;
On najpiękniejsze na niebiosach gwiazdy
Klnie, że zdradzają ścieżki jego jazdy.
Zbiegając z góry, nim konia nawrócił,
Spojrzenie straszne, jak ostatnie, rzucił.
I wybiegł znowu, znowu w górę skoczył.
Wtem nagle stanął, konia w bok zatoczył
I patrzy z góry, na strzemionach staje —
Czegóż on patrzy, tam, w oliwne gaje?
Księżyc na nowiu wschodzi z za gór grzbietów,
Błyszczą nad miastem lampy minaretów,
W mieście wre teraz Bajramu uciecha;
Tu, choć nie dojdą ni wystrzałów echa,
Ni muzułmanów pobożne okrzyki,
Przecież błysk widać każdej tofaiki *.
Bo dziś zachodzi słońce Ramazanu,
Dziś Bajram święcą wyznawcy Koranu *,
Dziś... Lecz ty, Giaurze, kto jesteś? co znaczy
Twój ubiór obcy — i twój wzrok rozpaczy?
Co cię obchodzi Bajram? po co czekać
Naszego święta lub przed nim uciekać? —
On stał — wtem nagły strach lica mu ścisnął
I strach ten nagle wściekłością zabłysnął.
A blask ten nie był jak rumieniec nikły
Gniewów, co wschodzić i przemijać zwykły,
Ale jak bladość marmurowej bryły
Powiększająca ciemnotę mogiły.
Brwi nasuJlione, osłupiałe oko.
Wtem rękę dźwignął i podniósł wysoko,
I na wiatr miotął, jakby groził gniewny.

Stał, czy uciekać, czy gonić, niepewny;
 A wtem koń zarżał, niecierpliwy zwłoki,
 I rzenie echem odbiły opoki.
 Giaur za miecz porwał i szczęk rękojeści
 Wybił go nagle z tej niemej boleści,
 Jak zbójcę budzi krzyk sowy złowrogi;
 Znowu koniowi w bok wraził ostrogi:
 Dalej, w cwał, koniu, tu idzie o życie! —
 Znowu koń czarny zagrzmał po granicie;
 Chyży jak dziryty — leci wzdłuż zatoki,
 Dalej ku morzu — wpadł między opoki.
 Nie widać twarzy — znikła strusia kita,
 Na chwilę grzmiące ucichły kopyta.
 Raz tylko wstrzymał rumakowi wodze
 I nieruchomy chwilę stał na drodze,
 Chwilę — i znowu opoka zagrzmała,
 Giaur poleciał, jakby go śmierć gnała.

Straszna to chwila, w której duch rozkręci
 Za jednym razem cały zwój pamięci .
 I w jedną drobną kroplę czasu zleje
 Życia bolesne i zbrodnicze dzieje!
 Kto nienawidzi, kocha się lub boi,
 Temu za piekło jedna chwila stoi.
 Cóż on czuł wtenczas, gdy trapiące duszę
 Wszystkie od razu wycierpiał katusze?
 Chwila spoczynku, wśród potoku zdarzeń,
 Kto zliczy, ile mieści wyobrażeń? —
 Bo choć dla czasu zdaje się nicością,
 Ona dla myśli jest całą wiecznością.

Bo nieskończone, niezmiernie cierpienie
 Może w myśl jedną zgromadzić sumnienie
 I w jednej chwili wycierpieć od razu
 Bolę bez końca, nadziei, wyrazu!

* * *

Przeszła godzina — Giaur jak cień przeminął.
 Uciekł? czy zginął? czy sam tylko zginął? —
 W czarnej godzinie przybył, jak zesłana
 Od niebios kara za grzechy Hassana,
 Przyszedł i smętarz zrobił z baszy domu,
 Przyszedł i odszedł jak wichur Symomu *,
 Co wieje bożym obciążony gniewem
 I za którego śmiertelnym powiewem
 Cyprys* umiera, choć jest śmierci drzewem,
 Choć wiosną nawet nie zruca żałoby,
 Jeden, co wiernie oplakuje groby!

* * *

Nie masz rumaków na stajniach Hassana,
 Komnata jego od sług odbieżana,
 Pająk samotnik na ścianach się czepia
 I szpary szarym całunem zasklepia.
 W twierdzy Hassana nie widać żołnierzy,
 W jego haremach gniazdo niedoperzy,

Zamiast strażnika puszczyk krzyczy z wieży.
 W ogrody czasem dziki pies przybieży,
 Spragniony wyje na suchą fontannę;
 Stoją wód łoża z marmuru usłane,
 Lecz owdowiałe — bo zdroje wymarły,
 Zielska się dzikie na dnie rozpostarły.

Niegdyś jak wdzięcznie fontanny tu grały
 Łagodząc nieba wschodniego upały,
 Niegdyś, tryskając srebrnej rosy tęczę
 I fantastyczne wirując obręcze,
 Rozkosznym chłodem rzeźwiły dokoła
 Powietrze, ziemię i spragnione zioła.

Jak było mile blaski gwiazd pogodnych
 Widzieć odbite na tych łukach wodnych,
 Słuchać muzyki tych szemrań łagodnych!
 Tu często Hassan w niemowlęcym wieku
 Bawić się lubił u kaskady ścieku;
 Tu, drzemiącemu w matki swej objęciu,
 Piastunka woda śpiewała dziecięciu.
 Hassan młodzieniec na te wodotryski
 Poglądał, siedząc obok odaliski,
 I śpiew jej miłsze zdawał się mieć tony,
 Gdy był do szmeru kaskad nastrojony.
 Lecz Hassan stary nigdy sennej skroni
 Wieczorem u tej kaskady nie skłoni:
 Z marmurów woda uciekła chłodząca,
 Z serca Hassana wyszła krew gorąca.
 Tu nie usłyszysz już głosu człowieka,

Nikt się nie śmieje, nie klnie, nie wyrzeka:
 Ostatni ludzki głos, echem odbity,
 Był to krzyk na śmierć ciążonej kobiety.
 Głos skonał — odtąd milczą te pałace,
 Wiatr tylko oknem otwartym kołące.
 Lecz choć wiatr szumi, choć się nieba chmurzą,
 Już tu nikt okna nie zamknie przed burzą.

Cieszy się pielgrzym, gdy w stepach odkryje
 Ślady na piasku, chociaż nie wie czyje;
 Tu, gdyby ludzki jęk odbiły echa,
 W jęku tym jakaś byłaby pociecha,
 Ten jęk by mówił: „Nie wszystko skonało!
 Jedno tu życie ludzkie pozostało”.
 Jeszcze w tych gmachach znalazłbyś wspaniałe
 Izby i sale puste — dotąd całe.
 Dach jeszcze cały, chociaż rak zniszczenia
 Roztacza ciągle ściany i sklepienia.
 Lecz Zgroza siedzi przed bramą na straży,
 Sam fakir do wrót zbliżyć się nie waży,
 Derwisz* ubogi nie przestąpi progu
 Za chleb i za sól podziękować Bogu*;
 Nędza i Zbytek uchodzą na stronę,
 Nie powitane i nie ugoszczone;
 Pałac, gościna wiernego narodu,
 Stał się jaskinią zniszczenia i głodu.
 Gość płacze dobrodzieja, płaczą słudzy pana*,
 Od czasu gdy miecz Giaura ciął w turban Hassana.

Słyszę dźwięk z dala końskiego kopyta,
 Jadą podróżni, lecz mnie nikt nie pyta.
 Już bliżej — Turcy — już widzę turbany
 I w srebrem kutych pochwach atagany *.
 Wódz ich na przedzie w bogatym zawoju,
 Zapewne emir, bo w zielonym stroju *.
 „Ho! kto ty?” — „Salem! waszej jestem wiary *,
 Emirze, widzę, że wiesz towary;
 Widzę, że wór twój jest ciężko ładowny,
 Ostrożnie wiesz — musi być kosztowny.
 Może do portu śpieszysz dla noclegu? —
 Jestem przewoźnik — mam łódkę u brzegu”.
 „Zgoda — rzekł emir — pośpieszaj, czas nagli,
 Odbijem cicho, nie rozpinaj żagli,
 Niech leżą zwite; wiosłami uderzaj
 I szybko, cicho podnad brzegiem zmierzaj,
 I wież nas prosto pomiędzy opoki,
 Tam, na sam środek najgłębszej zatoki. —
 Teraz odpocznij — dobre masz ramiona,
 Podróż i zręcznie, i prędko skończona.
 Lecz ona — zacznie podróż, dalszą, z której...”

 Rzucili w wodę —

 Ciężko plusnęło — i powoli tonie —
 Rozstały się wkoło szklane błonie,
 Zważałem ciężar: dziwnie mi się zdało —
 Ruszył się — pewnie morze nim ruszało.
 Może to było księżycy błysnienie,
 Nagle odbite o morza przestrzenie;

Patrzyłem ciągle, i wodne obręcze
 W mniejsze i węższe ścisnęły się tęczę,
 Jakby ich środkiem kamień przepadł do dna;
 Na koniec w środku wyszła bańka wodna —
 Perłowe kółko — błysnęło — przepadło.
 Znowu zatoka gładka jak zwierciadło.
 I tajemnica usnęła w topieli —
 Genijuszowie morscy ją widzieli,
 Lecz, drżąc z przestachu w swych domach z koralu,
 Nic o tym z żadną falą nie gadali.

* * *

Jak król motylów, za wiosny powrotem *,
 Na skrzydłach jasnych purpurą i złotem
 Znad szmaragdowej Kaszemiru błoni
 Wzlatuje, dzieci wabiąc do pogoni,
 I z ziół na zioła, i z kwiatów na kwiaty
 Ciągnie myśliwców, i myli ich czaty,
 Wreście uleci— i niknąc w obłoku
 Zostawia żal w sercu i łzy w oku:
 Podobnie piękność wabi starsze dzieci,
 Tak bystro lata i tak wdzięcznie świeci,
 To łowców trwoży, to nadzieją mami,
 Gonią wesoło — łowy kończą łzami.
 Lecz jeśli w ręce myśliwemu wpada,
 I motylowi, i piękności biada!
 Chcąc uciec darmo skrzydełka natęży,
 Igraszka dziecka lub ofiara męża.
 Cacko, za którym żądza chciwie goni,

Straciło urok, gdy je mamy w dłoni —
 A gdy wdzięk barwy i świeżość przeminie,
 Rzucim, niech leci — lub samotnie ginie.
 Gdy skrzydła zranisz, gdy serce zakrwawisz,
 Czyli ofiarom swobodę zostawisz?
 Motyl odartym skrzydełkiem czyż może
 Latać jak dawniej z fijołków na róże?
 Z pięknnością, w jednej uwiędłą godzinie,
 Czyż razem pokój na wieki nie zginie? —
 Zgraja motylów, co pod niebem lata,
 Nie szuka w dole zranionego brata.
 Płeć piękna dla nas ma litości tyle,
 Lecz dla płci własnej ma serce motyle!
 Piękność nad każdym nieszczęściem łyż leje,
 Nad siostr upadkiem — tylko się zaśmieje.

* * *

Dusza brzemienna zbrodni swych ciężarem
 Jest jak skorpion opasany żarem *;
 Krąg coraz mocniej zwięża się i błyska,
 I więźnia coraz gwałtowniej dociska,
 Aż gdy go zewsząd na wylot przepieka,
 Skorpion cierpi, dąsa się — i wścieka.
 Jeden mu został sposób wyjść z pożogów:
 Ma żądło, które wyostrzył na wrogów,
 Które trucizną pewną rany poi,
 Jeden ból zada i wszystkie wygoi,

To żądło więzień topi w głowie swojej.
 Podobnie dusza zła kona w cierpieniach
 Lub żyje jako skorpion w płomieniach.
 Bo kiedy ludzi zwiąże pamięć zbrodni,
 Świata niezdatni, a nieba niegodni,
 Rozpacz nad nimi, pod nimi noc gruba,
 Wkoło płomienie — a w pośrodku zguba;

* * *

Ponury Hassan z haremu ucieka,
 Pieszczot, widoku kobiet się wyrzeka.
 On w lasach trudy myśliwców podziela,
 Ale nie może dzielić ich wesela. —
 Dawniej polować nie miał we zwyczaju,
 Póki Leila mieszkała w seraju.
 Dziś, czy Leila uszła? czy nie żyje? —
 Hassan wie tylko, lecz sam w sobie kryje.
 Różne powieści krążą między gminem —
 Słysząc, że uszła z Wenecyaninem.
 W dzień Ramazanu, gdy zapadło słońce,
 A z minaretów jasnych lamp tysiące
 Bajram na całym obwieściły Wschodzie,
 Leila poszła kąpać się w ogrodzie
 I nie wróciła — szukano daremnie.
 Mówią, że z Giaurem zeszła się tajemnie,
 Wsiadła z nim na koń za pazia przebrana
 I w noc Bajramu zbiegła z państw sułtana.

 Od dawna Hassan miał ją w podejrzeniu;

Ale w jej oczach i w jej uściśnieniu
 Tyle wyczytał miłości i wiary,
 Że znowu brance zaufał pan stary.
 Wieczorem poszedł w meczet na pacierze
 I w noc Bajramu jadł w kiosku wieczerzę.
 Tak powiadali czarni niewolnicy,
 Niewierni pańskich haremów strażnicy.
 Lecz inni głoszą, że gdy padł mrok szary,
 Przy bladym świetle wschodzącej Fingary *
 Widziano Giaura na czarnym rumaku
 W cwał lecącego po nadbrzeżnym ślaku,
 Z cugiem spuszczonego, skrwawioną ostrogą,
 Lecz nie wioził panny ni pazia — ni kogo.

* * *

Oko jej czarne — i któż się ośmieli
 Wzrok ten malować? — te oczy gazeli
 Wielkie i słodkie, ciemne i błyszczące!
 Dusza z nich mówi przez iskier tysiące,
 Które ze źrenic lecą przezroczystych
 Jako z Dżemszyda rubinów ognistych *.
 Dusza z nich mówi! Wbrew słowom Proroka,
 Że „postać niewiast jest ziemi powłoka” —
 Allachu! dusza mówi z tego oka!
 I choćbym w drodze ku lepszemu światu
 Przechodził ostre mosty Alsyratu *,
 Wisiał nad piekła ognistym potokiem
 I cały rajski ogród miał przed okiem,
 I w nim wabiące hurysy dziewice,

Powiem: kto widział Leili źrenice,
 Ten Alkoranu nauk nie usłucha!
 Czyż taka piękność jest prochem bez ducha? *
 Jest cackiem, z którym bawi się mężczyzna? —
 Niech na nie spojrzy sam mufty, a wyzna,
 Że nieśmiertelność wygląda z jej źrenic.
 Na jej obliczu cudowny rumieniec
 Wiecznym i świeżym błyszczy się szkarłatem,
 Jakby granatów posypany kwiatem.

Jej włosy jako hijacynty płyną;
 Gdy okolona rówiennic drużyną
 Stanie, nad wszystkie głową wyniesiona,
 I da warkoczom płynąć przez ramiona,
 Włosem zamiata ślad swój na marmurach,
 Siad nóżki bielszej niżli śniegi w górach,
 Kiedy z rodzinnych obłoków wylecą
 I ziemią jeszcze nie skalane świecą.
 Jako monarcha ptaków Frangestanu *,
 Łabędź, podnosi głowę z oceanu
 I pysznie skrzydłem uderza po fali,
 Skoro dostrzeże podróżnika w dali:
 Z taką powagą ona zwraca głowę
 I śnieżne ramię, i piersi perłowe,
 I z taką piękną dumą wzrokiem miota,
 Gdy na nie oczy śmie zwrócić pustota.
 Cofną się, blasku wytrzymać nie mogą,
 Pochlebiać chciały, upadają z trwogą.

Jak była oczom piękną Gruzujanka,

Tak miała serce czułe dla kochanka.
 Kochanka? Któż jej kochanek? — Hassanie,
 Ty nim nie jesteś, dziki muzułmanie!

* * *

Ponury Hassan dał rozkaz podróży;
 Oddział wasalów, co mu w dworcu służy,
 Jak orszak i straż pojedzie za panem;
 Każdy zjanczarką, z łukiem, z ataganem.
 Hassan sam zbrojny jedzie na ich czele,
 Zwiesił na pasie krzywą karabelę,
 Wypróbowaną na albańskich głowach,
 Kiedy raz zbójców napotkał w parowach
 I tak rozgromił muzułman zwycięski,
 Że ledwie kilku uszło z wieścią klęski.
 Za pas dwa zatknął, bogato oprawne
 W perły i w złoto, pistolety sławne:
 Hassan przed laty dostał je od baszy,
 Ich widok zbójców i wabi, i straszy.
 Mówią, że Hassan jedzie pojąć żonę,
 Pocieszyć znowu serce zakrwawione
 Zdradą Leili, co uszła z haremu
 I dziś, o zgrozo! służy niewiernemu.

* * *

Ostatnim blaskiem zachodniego słońca
 Złocą się góry i kaskada grzmiąca,
 Żywiona czystym i świeżym gór śniegiem.

Tu często kupiec Grek staje noclegiem,
Znajdując pokój w ustroniu głębokiem
Pewniej niż w mieście pod swych panów bokiem;
Tu się nie lęka o całość swej skrzyni;
W miastach niewolnik, wolny na pustyni.
Tu wesół spróżnia czasę pełną wina,
Którym się brzydzą usta moslemina.

Najpierwszy jedzie Tatar, wódz orszaku,
Z daleka widny po żółtym kołpaku,
Opodał konni ciasną jamy szyją
Po krętej ścieżce na skalę się wiją.
Nad nimi sterczą w górę czarne szczyty,
Gdzie sępy ostrzą dzioby o granity
I lecą na dół; już zwietrzyli łupy;
Nim zajdzie słońce, będą świeże trupy.
U spodu rzeka, która w zimie bucha
Ogromną wodą, a w upały sucha
Nagie i czarne lono swe odsłania
I kilka kaskad srebrzystych pochłania.
Wokoło ścieżki kawały granitu
Leżą bezładnie, strącone ze szczytu;
Czas je pospychał albo zbiły gromy.
Wierzch skały niknie we mgle niewidomy,
Bo żaden z ludzi czoła Lijakury,
W pogodę nawet, nie widział bez chmury.

Już w gaj wjechali i po kilku chwilach
Dojdą wierzchołka; już krzyczą: „Bismillach! *
Tu już bezpiecznie, stąd już widać błonie;

Wkrótce w dół zjedziem, na wiatr puścim konie”.
 Gdy czausz tak mówił — ogień z góry błysnął,
 Nad uchem ołów niewidzialny świsnął,
 Tatar przewodnik wyleciał z kulbaki.
 Ledwie czas mają zatrzymać rumaki,
 Skoczyli z siodła, janczarki odwiedli,
 Ale trzech spadło pierwej, niżli zsiadli,
 Z rąk niewidzialnych rany odbierają
 I ginąc, darmo o zemstę wołają.
 Dobyli szabel, na rumaków karkach
 Na odwiedzionych wsparli się janczarkach,
 Na pół wciśnieni między końskie boki;
 Inni uciekli pod ścianę opoki
 I tam ręcznego czekają spotkania,
 Nie lubiąc służyć za cel do strzelania
 Wrogom, co bronią niewidzialną rażą,
 A wstępnym bojem spotkać się nie wazą.

Sam Hassan został; z konia zsiąść nie raczy,
 Spokojnie jedzie, aż z przodu obaczy
 Blask ręcznej broni; rozbójników zgraja
 Strzela wzdłuż drogi, z przodu się zaczaja,
 I z tyłu słyhać z janczarek łoskotu,
 Że mu przecięto drogę do odwrotu.
 Więc wściekły brodę od gniewu najeżył *
 I wkoło wzrokiem ognistym uderzył.
 „Choć wrogi wkoło, choć gęste wystrzały,
 Jam z krwawszych bitew nieraz wyszedł cały”.
 Zbójcy wychodzą, stają na skał szczycie:
 „Rzucaj broń — krzyczą — komu miłe życie!” —

Ale Hassana oczy i rozkazy
 Straszniejsze niżli nieprzyjaciół razy,
 I z garstki szczupłej, ale wiernej panu,
 Żaden nie rzucił swego ataganu
 I żaden podle nie krzyknął: „Amanu!” —
 Nieprzyjaciele coraz bliżej godzą,
 Razem ze wszystkich zasadzek wychodzą,
 A z gęstwi lasu dowódca orszaku
 Leci sam przodem na dzielnym rumaku.
 Któż ten dowódca? — strój nosi albański,
 Ale miecz prosty, miecz to chrześcijański.
 „Znam go, znam Giaura — wściekły Hassan woła
 Znam go, poznałem ze smagłego czoła,
 Poznałem czarne, złowrogie źrenice *,
 Jego nikczemnej zdrady pomocnice,
 Konia czarnego znam, choć leci pędem,
 Chociaż nakryty arnauckim rzędem.
 Podły odstępco twojej podłej wiary!
 Teraz cię turban nie zbawi od kary.
 Gdziemkolwiek spotkał, w jakiejkolwiek chwili,
 Dobrze, żem spotkał zdrajcę mej Leili”.

Jak się wezbrana rzeka w morze leje
 I morską burzę spotkawszy szaleje,
 Łamią się fale, drżą opoki brzegu,
 A nurty ryczą pod pianami śniegu:
 Tak się spotkały wrogów zgraże obie,
 Losem i gniewem gnane przeciw sobie;
 Szable nad uchem grzmiały, lecąc w kawały,
 Huczą po skałach dalekie wystrzały;

Starcia się loskot i karabel dźwięki,
 Huk karabinów, konających jęki
 Echo żalosne po dolinie szerzy,
 Przywykłej tylko do śpiewów pasterzy!
 Liczba niewielka, lecz bitwa straszliwa,
 Nikt przebaczenia nie daje, ni wzywa.
 Paro kochanków, mocne są twe sploty,
 Gdy się ściskacie podzielać pieśczoły!
 Lecz nie tak cisną miłości ramiona,
 Gdy w nich spoczywa piękność ulubiona,
 Jako się barki zwiążą nienawisnie,
 Kiedy wróg wroga ostatni raz ściśnie. —
 Przyjaźń ostygnie, pieśczoła się skończy,
 Objęcia wrogów i śmierć nie rozłączy.

Z szablą po samą rękojeść uciętą,
 Krwią opryskaną i mocno ujętą
 W sinej, od ciała odrąbanej dłoni,
 Co jeszcze drgała nie puszczając broni;
 Obok turbana, którego zawoje
 Miecz Giaura zerwał i przerznął na dwoje,
 W deliji długiej, zmiętej, rozpostartej,
 Od mnogich razów na sztuki podartej,
 Zaczerwienionej jak chmury przed burzą,
 Gdy po dniu jasnym burzliwą noc wróżą;
 Krwią zlawszy piasek i gałęzie boru,
 Gdzie wiszą szmaty jego palamporu *;
 Z piersią przebitą i otwartą ciosom,
 Barkami na wznak, twarzą ku niebiosom,
 Tak leżał Hassan — oczy już zbieleły,

Jeszcze otwarte, Giaura wyzywały.
 Giaur stanął nad nim i w Hassana lice
 Utopił równie straszne dwie źrenice.

„Tak! tyś pochował w falach mą Leilę,
 Jam cię pochował w czerwonej mogile.
 Jej duch kierował mieczem; jej morderca
 Uczuł raz pierwszy, co to jest ból serca;
 Proroka wołał, ale nadaremnie,
 Prorok twej głowy nie wyrwie spode mnie.
 Allacha wołał, wiatr prośbę rozdmuchał,
 Allah nie słyszał albo nie wysłuchał.
 O psie pogański! czyż Opatrzność, głucha
 Na krzyk Leili, twych krzyków usłucha? —
 Zbójcą zostałem! jeździłem na zwiady,
 Aż w końcu zdrajca padł ofiarą zdrady,
 Jam spełnił swoje, zemścił się nad tobą.
 A teraz, dalej — w świat —jadę sam z sobą”.

* * *

Na polu słyhać brzęk dzwonek wielbłąda
 Matka w ogrodzie z altany wygląda.
 Na łąkach błyszczą już wieczorna rosa,
 Już ku wschodowi ciemniejszą niebiosą
 I rozniecają drżących gwiazd ognisko.
 Już wieczór. — Hassan zapewne już blisko.
 Matka stroskana zstępuje i bieży
 Do swych haremów, i pogląda z wieży:
 Nie widać! nie zwykł jeździć tak pomału —

Nie zwykł popasać nawet w czas upału.
 Nie przysłał darów ślubnych — czy się lenił?
 Czy konie strudził? czy serce odmienił?
 Skarga niesłuszna. — Już Tatar posłaniec
 Widny z daleka, już na skały kraniec
 Wstępuje zwolna — już zjeżdża z urwiska
 I wąwozami na dół się przeciska
 Koń nic nie winien, koń pewnie'z ciężarem,
 Zapewne ślubnym objuczony darem.
 Tatara mile przyjmę i nagrodzę
 Za prędką jazdę po takiej złej drodze.

W bramie zsiadł Tatar, od siodła odpina
 Juki niewielkie: czy to dary syna?
 Na twarzy smagłej bladość: czy to smutek?
 Czy podróznego utrudzenia skutek?
 Odzież spryskana krwi świeżej kroplami:
 Może poranił konia ostrogami?
 Rozwinał pakę — o aniele święty!
 O Azraelu!* to zawój rozcięty!
 To syna szaty, całe krwią zbroczone!
 „Pani, okropną twój syn pojął żonę,
 Mnie oszczędziły ręce poganina,
 Bym ci pokazał krew twojego syna.
 Legł śmiercią mężnych, pokój Hassanowi!
 Przekleństwo wieczne zabójcy Giaurowi!” —

* * *

Turban w kamieniu prostym wyrzeźbiony *
 I słup już dzikim zielskiem opasany,
 Na nim z Koranu modlitwa wyryta,
 Którą dziś ledwie podróżny wyczyta:
 To cały pomnik w bezludnej ustroni,
 Gdzie Hassan zginął od niewiernej broni.
 Zaczny Osmaniis*; nikt między wiernymi
 Przykładniej świętej nie nawiedził ziemi,
 Nikt bardziej winem nie gardził wyklętym
 I nikt pobożniej ku przybytkom świętym
 Twarzy nie zwracał, gdy na świątyn dachu
 Słyszał wołanie: „Illa—hu, Alla—hu!”

Z rąk cudzoziemca wziął śmiertelne rany
 I wśród ojczyzny leży jak wygnany,
 Z dala od domu, na bezdrożu dzikiem;
 Ani się pomścił nad swym rozbójnikiem.
 Lecz duch Hassanajuz rajskie dziewice
 Wiodą w rozkoszy wiecznej okolice,
 Okiem błyskają ku niemu jak słońcem,
 Wiecznie pogodnem i nie zachodzącem.
 Biega, zielone chustki wywijają,
 Pocałunkami rycerza witają;
 Bo raj rozkoszy zgotowany temu,
 Kto zginął walcząc przeciw niewiernemu.

Lecz ty, niewierny! ciebie anioł śmierci,
 Monkir, swą kosą rozerwie na ćwierci *,
 Potem zawlecze na nowe katusze
 Przed tron Eblisa twą przeklętą duszę *.

Tam ogień, wiecznych męczarni narzędzie,
 Ciało twe palić, w duszy goreć będzie;
 Słuch nie obejmie, język nie obwieści,
 Ile się piekła wewnątrz ciebie zmieści.

Lecz wprzód zostaniesz na ziemi upiorem *
 I trup twój, z grobu wyłaząc wieczorem,
 Pójdzie nawiedzać krainę rodzinną,
 Powinowatych spijać krew niewinną.
 Tam, na rodzeństwo własne zajuszony,
 Wyssiesz krew swojej siostry, córki, żony;
 Ścierw twój zasilisz cudzym życia zdrojem,
 Chciwie pić będziesz, brzydząc się napojem.
 A twe ofiary rozstając się z światem
 Poznają, że ich ojciec był ich katem;
 Przeklą cię, twoje usłyszą przekleństwa;
 I na pniu wyschnie szczep twego rodzeństwa
 Ostatnia twoja ofiara na świecie
 Będzie twa córka, najmilsze twe dziecię,
 Ona konając krzyknie na cię: „Ojcze!” —
 I krzyk ten ściśnie usta dzieciobojcze,
 Ale ssać muszą, dopóki się żarzy
 Ogień w źrenicach, rumieniec na twarzy;
 Aż ujrzysz w końcu, jak szklana powłoka
 Zamrozi, zaćmi ostatni blask oka.
 Natenczas ręką przeklętą z jej głowy
 Oderwiesz włosów warkocz bursztynowy;
 Z tego warkocza pukiel darowany
 Może na sercu nosi jej kochany,
 A ty dziś w piekle złożysz jego szczątki,

Jak samobójstwa twojego pamiątki.
Krwiają twoją własną, najmiłszą ociekły,
Gryząc twe usta i zgrzytając wściekły,
Wrócisz się znowu pomiędzy grobowce;
A tam upiory, twoi współwędrowce,
Gule, Afryty, spotkają cię w mroku.
I oni twego zląkną się widoku,
I do podziemnych skryją się otworów
Spotkawszy widmo, brzydsze od upiorów.

* * *

Jak się ten zowie kalajor ponury *? —
Twarz mnie znajoma — raz go napotkałem
W ojczyźnie mojej; leciał między góry
Na dzielnym koniu, pomiął mnie cwałem;
Leciał, jak tylko zdoła koń wyskoczyć,
Oblicze jezdca ledwie mogłem zoczyć —
Lecz widać było z twarzy i wejrzenia,
Że go opętał duch złego sumnienia.
Nie chciałbym nigdzie zdybać takiej twarzy,
Bo złą jest wróżbą spotkanie zbrodniarzy.
I teraz strasznie wygląda ten człowiek,
Jak gdyby śmierć mu patrzyła spod powiek.

Sześć lat minęło, jak przybył w te strony.
Wszedł do klasztoru, czy światem znudzony,
Czy za grzech jakiś pokutę odprawia,
Ale przed nikim grzechu nie objawia.
Nigdy on w ławkach podczas mszy nie siedzi,
Nie chodził ani razu do spowiedzi,
Ani się kłania przed Bogarodzicą,
Ani przed ołtarz idzie z kadzielnicą:
Dni całe siedzi zamknięty w ukryciu.
Nie wiem o jego przygodach i życiu,
Słyszałem tylko, że przybył ze Wschodu
Tureckim statkiem od stron Carogrodu.
Żeby był Turkiem, z twarzy się nie zdaje,
Zna chrześcijańską mowę i zwyczaje —

Pewnie skruszony jaki apóstata
 Dziś opłakuje przeszłe błędów lata.
 Tylko że świętych obrazów się lęka,
 Przed Pańskim chlebem i winem nie klęka;
 Dał wielki skarbiec, który może złupił,
 I tym gościnność w klasztorze zakupił.
 Lecz gdybym ja był na miejscu przeora,
 Albo bym wygnał tego kalajora,
 Albo w pokutnej zamurował celi,
 Tak żeby o nim ludzie nie wiedzieli.

Często on marzy, bezprzytomnie gada
 O pięknej pannie, która w morze wpada,
 Słyszy szczęk mieczów, strzały nad opoką
 I widzi Turka konające oko.
 Ilekroć na tym wierzchu skały stawa,
 Grozi mu z dołu jakaś ręka krwawa, —
 On sam ją widzi i, czyja, pamięta;
 Ręka pałaszem od ciała odcięta
 Wystaje z ziemi i kiwa nań w dali,
 Ażeby skoczył ze skały do fali.

* * *

Spod mnichowskiego czarnego kaptura
 Świeci jak z grobu źrenica ponura,
 Czasem z ukosa błyskawice ciśnie
 I całą burzą dawnych lat zabłyśnie;
 Barwa tych oczu co chwila się mieni.
 Chcą ją uważać widzowie zdziwieni

I wnet uczują ten urok spojrzenia
Wymowny, trudny do wypowiedzenia,
Cechę umysłu, co niezgięty w dumie
Zna swoje wyższość i pokazać umie.
A jako ptaszek, gdy go wąż urzeczy,
Trzepioce skrzydłem, ale nie uciecze,
Tak widz ujęty w sidła jego wzroku
Chce i nie może rozerwać uroku.
Przed nim w pół trwożny braciszek umyka,
Kiedy samego przypadkiem spotyka;
Bo on swym wzrokiem i gorzkim uśmiechem
Zaraża wszystkich boleścią i grzechem.
Przecież zbyt rzadko uśmiechać się raczy,
Śmiejąc się, tylko urąga rozpaczy.
Poruszy usta i drżące wnet przytnie;
Widać, że radość już w nich nie zakwitnie
I że uczucie wzdargy i niedoli
Już nigdy szczerze śmiać się nie dozwoli.
I tak też było — trupie jego śmiechy
Nie są poczęte z serdecznej uciechy.
Okropne lica! jakież być musiały,
Kiedy za młodu namiętnie gorzały? —
Wiek jeszcze wszystkich rysów nie pozglądał,
Tylko szpetnymi piękne poprzegradzał;
Jeszcze niekiedy rumieniec w nich pała,
Znaczno, że dusza nie całkiem szerniała.

Gmin widzi tylko w tym posepnym oku
Świadectwo zbrodni i pieczęć wyroku;
Pilniejszy badacz odgadnie z wejrzenia

Wielkość umysłu, zacność urodzenia,
 Dary, niestety, zbyt źle umieszczone,
 Skalane zbrodnią, smutkiem przetrawione.
 Był to przybytek nie podły, nie mały,
 Gdy w nim tak wielkie zalety mieszkały;
 Dziś został pustym, lecz poważnym gmachem,
 Ludzie nań lubią oglądać ze strachem.

Chaty bez dachów w pustkach widzi co dzień
 I rzadko do nich zagląda przechodzień;
 Lecz wieża, legła w szturmie albo w burzy,
 Co się czarnymi ruinami chmurzy,
 Wzbudza podróżnych dumania i żale;
 Złamane łuki, opuszczone sale
 Wiele o dawnej powiadają chwale.

* * *

W długiej kاپicy fałdy obwinięty,
 Z cicha przez kolumn przesuwają się rzędy,
 Straszy patrzących i sam strachem zdjęty
 Staje i patrzy na święte obrzędy;
 Lecz gdy się ozwał u ołtarza dzwonek,
 Księża uklękli — cofają się w przysionek.
 Tam przy niepewnym pochodni promieniu
 Twarz jego blada połyska się w cieniu,
 Tam będzie czekał, aż się nieszpór skończy,
 Słucha śpiewania, lecz głosu nie łączy.
 Patrz! tam cień rzuca na bielone ściany.
 Kaptur opadły i włos rozczochrany,

Gęsty i czarny bezładnie się wije,
 Jakby Gorgona swe najbrzydsze żmije
 Wyrwawszy z głowy splotła mu na skronie;
 Bo ten kalajor, choć mieszka w zakonie,
 Ślubu nie zrobił, więc nie strzyże głowy
 I nosi włosy jak człowiek światowy.
 Kapiecę przywdział jako inne mnichy;
 Dał skarb na kościół, lecz zapewne z pychy,
 Nie z pobożności, hojnie kościół nadał,
 W którym ni razu pacierza nie gadał.
 Tam — patrz na niego — w dzwonek uderzono,
 Wszyscy ukłękli, sakrament wzniesiono;
 Stoi jak posąg, i widać z postawy
 Wyraz rozpaczy, wzdargy i obawy.
 Ratuj nasz kościół, o święty Bazyli!
 Bośmy na karę bożą zasłużyli,
 Żeśmy takiego grzesznika wpuścili.
 Jeżeli zły duch czasem sobie sprawia
 Człowieczą postać, on tak się objawia.
 Te oczy jego, na słowo kapłańskie,
 Nie są niebieskie ni ziemskie — sztańskie!

* * *

Serce zbyt czułe — do kochania skłonne;
 Lecz nie zna, co to kochanie dozgonne,
 Długie cierpienia dzielić siły nie ma,
 Długich z rozpaczą wałek nie wytrzyma;
 A twarde serce gdy miłość skaleczy,
 Tej rany nigdy już czas nie uleczy.

Jako rodzimy kruszec od płomienia
 Wprzód się rozżarza, niżli zaczerwienia,
 Wrzucony w pieca płomieniste jamy
 Zgina się, miękczy, lecz zawsze ten samy;
 A potem wedle sztukmistrza rozkazów
 Służy do dania lub odbicia razów,
 Albo pierś twoją przed śmiercią zastawia
 Albo pierś wroga śmiertelnie zakrwawi;
 Lecz gdy raz śmierci ukuto narzędzie,
 Ten, kto je ostrzy, niech ostrożnym będzie!
 Tak ogień uczuć i sztuka kobieca
 Najtwardsze serca zmiękcza i roznieca;
 Lecz raz nagięte, zmianom nie ulegnie
 I pierwej pęknie, niżli się odegnie.

* * *

Jeśli cierpiących samotność ogarnie,
 Przerwa mąk tylko powiększa męczarnie;
 Pusta pierś czując otchłanie dokoła
 Chce je zaludnić i o boleść woła;
 Bo nie dzielone — każde czucie nudne,
 I szczęście samo do zniesienia trudne!
 Serce w cierpieniach gdy samotność widzi,
 Chcąc mieć pociechę wszystkich znieprawdzi.
 I jest to serce jak człowiek w mogile,
 Gdyby z letargu zbudził się na chwilę
 I czuł z wzdrygnięciem, że robactwo toczy
 Odżyłe jego oblicze i oczy,
 I nie miał siły bronić swych wnętrzności

Od tych szkaradnych, niespodzianych gości.
 To serce jest jak pelikan, gdy leci
 Przez obszar pustyń do gniazda, do dzieci,
 Krew swą gotowy na żywność im przelać,
 Życie z głodnymi nieskąpy dzielić;
 Już dziobem piersi rozranił szlachetne
 I widzi tylko swe gniazdo — bezdzietne.

Najsrozsze męki, które nędzni znoszą,
 Samotnej duszy zdają się rozkoszą,
 Sierocej, stepem otoczonej dzikim,
 Trawiącej czucia nie dzielone z nikim.
 Któż by był niebios ciekawy widoku
 Bez słońca i bez żadnego obłoku? —
 Lepiej jest płynąć, choć się niebo chmurzy,
 Niż morskiej nigdy już nie doznać burzy
 I gdy żywioły zakończyły wojnę,
 Być wyrzuconym na brzegi spokojne,
 W pustą zatokę i bez towarzyszy
 Późnego zgonu czekać w wiecznej ciszy;
 Lepiej raz przepaść w zaburzone fale,
 Niżli żyć gnijąc po trochu na skale.

* * *

„Tyś dni twe przeżył, ojczyźnie spowiedniku,
 Licząc różańce, prawiąc msze bez liku,
 Za cudze zbrodnie błagając gniew boski,
 A sam nie znając zgryzoty ni troski,
 Proch smutków krótkich, zwyczajnych w tym życiu;

Siwy, spokojny, jak byłeś w powiciu!
Przeraża ciebie walka uczuć dzika,
Ilekroć zajrzysz w serce pokutnika,
Choć jego skargę, jego łzę żalną
Przyjmujesz w duszę czystą i litośną.
Moje dni krótkie na płaczu padole,
Obfite w rozkosz, lecz płodniejsze w bolę —
Przecież pomiędzy rozkosze i trudy
Przeszedłem życie nie doznawszy nudy;
Na ucztach, w bojach, z kielichem, z kindzalem,
Zawsze spokojność gnuśną pogardałem.
Dziś nic nie kocham ani nienawidzę,
Pychy nie czuję, nadziei nie widzę;
A dzisiaj jeszcze wolałbym być gadem
I pod klasztorem pełzać strasząc jadem,
Niż być wskazanym w cichym mniszym stanie
Na modlenie się i na rozmyślanie.
Przecież spoczynku nadzieja mnie łechce,
Chciałbym mieć pokój, ale go czuć nie chcę.

Wkrótce się wszystko skończy tak, jak życzę,
Zasnę w mogile nie marząc, czym byłem;
Choć moje życie zda się tak zbrodnicze,
Gdybym mógł odżyć, żyłbym tak, jak żyłem.
Dziś w mej pamięci, jak w ciemnej mogile,
Leżą już zmarłe mych rozkoszy chwile;
Lepiej by dawno leżeć razem z niemi,
Niż ciężką włóczyć tęsknotę po ziemi.
Nigdy mój umysł nie upadł na męstwie
W długim i strasznym żywota męczeństwie,

Sam dobrowolnie w grób się nie położę,
Jak dawni głupcy lub dzisiejsi tchórze.
Ze śmiercią nieraz spotkałem się z bliska;
Chętnie bym poległ wśród pobojuwiska,
Gdybym rycerskim mógł oddychać szałem
I kochał sławę, jak piękność kochałem.
Lecz jam nie walczył dla oklasków gminu,
Nie dbam o zdobycz lub stratę wawrzynu,
To innych dzieło; niech rzną się żołdacy
Dla wielkiej sławy lub nikczemnej płacy.
Ale mnie dzisiaj jeszcze niech poruszy
Przedmiot prawdziwie godny mojej duszy,
Niech mam przed sobą kochankę lub wroga;
Choćby mi groził i miecz, i pożoga,
Gdy serce mścić się lub bronić rozkaże,
Na miecz i ogień jeszcze się odważę.
Bo mężny na śmierć ze wzgardą poziera,
Nędzarz jej pragnie, tchórz się jej wydziera.
Kto mi dał życie, niechaj je odbiera;
Ja śmierć bez trwogi spotykałem nieraz,
Gdym był szczęśliwy i dumny — **a teraz?**

Kochałem, ojczy — o, nie — ubóstwiałem —
Lecz to są słowa, słowo często kłamie —
Ja miłość moją czynem pokazałem:
Przypatrz się rdzawej na tym mieczu plamie,
To jest krew dawna, dotąd się nie starła,
Przelana dla tej, co dla mnie umarła.
Krew ta dobyta z serca mego wroga.
Nie trwóż się, księżo, nie wznos rąk do Boga,

Za grzech zabójstwa nie lękam się kary,
 Wróg mój był także wrogiem twojej wiary.
 Samo wspomnienie o Maryi synie
 Już obudzało złość w tym poganinie.
 Głupiec niewdzięczny! bo jeżeli rana,
 Jeśli śmierć ręką chrześcijan zadana
 Jest Turkom kluczem rajskiego ogrójca,
 Tedy do raju wysłał go zabójca.
 I teraz może hurys czarnooka
 Witać Hassana u bramy Proroka.

Kochałem — —miłość często drogę znajdzie
 Tam nawet, kędy głodny zwierz nie zajdzie,
 A miłość taka, śmiała na przygody,
 Czyliżby miała zostać bez nagrody?
 Gdzie? kiedy? po cóż mam głosić przed światem?
 Byłem szczęśliwy w miłości — dość na tem.
 A przecież często żałuję — daremnie! —
 Wolałbym nie być kochany wzajemnie.
 Ona umarła —jak? — o to nie pytaj,
 Jeśli śmiesz, sam to odgadnij, wyczytaj,
 Bo tu wyryte noszę na mym czole,
 Kaima pismem — me zbrodnie i bole.
 Ale mnie nie kluj — posłuchaj —ja byłem
 Przyczyną śmierci — lecz nie ja zabiłem.
 Mógłbym i śmiałbym to samo uczynić,
 Gdyby kochanka śmiała mi przewinić. —
 Jemu niewierna — więc on ją pochował —
 Mnie była wierną — jam go zamordował.
 Choć śmierć Jej była zasłużoną karą,

Lecz jej niewierność, była dla mnie wiarą,
Bo mnie oddała serce, skarb sieroty,
Jedyny, którym nie rządzą despoty.
Ach! późnom przybył, nie mogłem jej zbawić,
Mogłem jej tylko małą ulgę sprawić,
Mogłem w ślad za nią jej wroga wyprawić.
Jego śmierć lekka — ale jej męczeństwo
Było dla myśli mych takim straszydłem,
Że w końcu ludziom i sobie obrzydłem.

On zginął słusznie — zrządzeniem wyroków,
On wiedział o tym od swoich proroków *,
Których słuch wieszczcy śmierć przeczuwa w dali
I słyszy wystrzał wprzód, nim broń wypali;
Zginął wśród bitwy, zgiełku i hałasu,
Bez mąk, bez bólu — cierpieć nie miał czasu.
Raz tylko wezwać Mahometa zdołał,
Raz tylko w niebo o pomstę zawołał.
Poznał mnie w tłumie, lecieliśmy cwałem,
On poległ — długo nad leżącym stałem
I duszy jego ujścia pilnowałem.
Konał jak tygrys pokłuty od szczwaczy,
Lecz nie czuł tego, co czuję — rozpaczy!
Szukałem w licu sinem, krwią nabiegłem,
Znaków boleści — żadnych nie dostrzegłem.
Rysy, śmiertelną okryte ciemnotą,
Jeszcze wściekłością tchnęły — nie zgryzotą.
Cóż bym dał za to, gdybym w jego twarzy
Mógł widzieć rozpacz ginących zbrodniarzy!
Widzieć, jak późna, niedołączna skrucha

Z konającego wywołuje ducha
Zbrodnię — i nie chce zbrodniarza rozgrzeszyć,
Nie może zbawić, a nawet pocieszyć.

* * *

W krainach zimnych i serca są chłodne,
Uczuć prawdziwej miłości niegodne.
W moim gorącym sercu czucia moje
Wrzały jak w Etnie płomieniste zdroje.
Nie umiem nucić w żalosnych piosenkach
O lubych więzach i okrutnych wdziękach.
Jeśli krwi burza, oczu błyskawica,
Ust nieme drzenie, mieniające się lica,
Serca katownia i głowy szaleństwo,
Śmiałość w zamiarach i w spełnieniu męstwo,
Pierś chciwa zemsty, dłoń zbrojna kindzalem,
Wszystko, co czułem i co dokonałem,
Jeśli to znakiem kochania — kochałem!
Nie wiem, co wzdychać i skargi wywierać,
Wiem, jak wzajemność zyskać i umierać.
Umrę, lecz pierwszej rozkoszy użyłem,
Niech co chce będzie — szczęśliwy już byłem.
Mamże kłać losom? — jam sprawca mej doli,
Ja chciałem cierpieć, nie zmieniłem woli;
Dziś wróc mi dawne trudy i rozkosze,
Jam gotów znosić, co zniosłem, co znoszę.
Gotów żyć znowu, jakieśmy z nią żyli,
Gotów na wszystko — prócz śmierci Leili.
Życia mojego żałować nie warto,

Żałuję życia, które jej wydarto.
 Ona śpi, falmi nakryta chłodnemi! *
 Ach! czemuż grobu nie miała na ziemi,
 Czemuż to serce schorzałe nie może
 Znaleźć i dzielić jej podziemne łoże? —
 Ach! był to anioł życia i światłości,
 Widzę go dotąd, w oczach moich gości,
 Krąży wkoło mnie, wabi mnie i nęci,
 Moja zaranna jutrzienka pamięci!

Zaiste, miłość jest świętym pożarem,
 Iskrą zatloną w ogniach nieśmiertelnych,
 Aniołów dobrem, Wszchemocnego darem,
 Balsamem rajskim dla serc skazitelnych.
 Pobożność duszę w niebiosą porywa,
 Ale z miłością niebo w duszę wpływa;
 Uczucie, które bóstwem zapalamy;
 Które wytrawia wszystkie myśli plamy.
 Jest to promyczek wszechwórczego słońca,
 Korona, duszę wokoło wieńcząca.
 Wyznam, że moja miłość była inna,
 Była zbyt ziemską, ludzką, nawet gminną.
 Jam grzesznik, ojczy — lecz ona niewinna.
 Ach! ona była mą gwiazdą polarną,
 Zgasła, któż teraz oświeci noc czarną!
 Ach! gdyby jeszcze weszła mi pogodnie,
 Wiodła mnie znowu, chociażby na zbrodnię!
 Bo cóż dziwnego, że kto wraz postrada
 I całe szczęście, i wszystkie nadzieje,
 Pokornie głowy pod wyrok nie składa,

Ale klnie losom i z bólu szaleje,
I w zbrodniach szuka męczarniom ulżenia,
A zwiększa tylko winy i cierpienia?
Ach! serce chore na wewnętrzne rany
Nie dba na żaden cios zewnątrz zadany!
Kto raz spadł z niebios, już się nic nie lęka,
Mniejsza, gdzie spadnie, wie, że wszędzie męka.

Widzę, kapłanie, że tobie obrzydłem,
Drżysz i odwracasz oczy pełne trwogi;
I tegom dożył! zem stał się straszylem,
Jestem dla ludzi jako ptak złowrogi.
Prawda, że miałem drapieżność jastrzębia,
Żem latał niszcząc i lejąc krwi strugi,
Alem się uczył kochać od gołębia,
Umrę nie znając, co kochać raz drugi.
Dobrze by było nieraz ludzi dumnych
Uczyć przykładem ptaków bezrozumnych!
Słowik, co w gajach nuci z wiosny porą,
Łabędź, co zdobi błękitne jezioro,
Małżonkę sobie jedną tylko biorą.
Niechaj trzpiot z licznych miłostek się chwali,
Niech tych wyśmiewa, co w miłości stali,
Niech sobie cacek szuka coraz innych,
Ja mu nie zajrzę tych uciech dziecinnych.
Lecz u mnie człowiek lekki i przewrotny
Mniej wart niżeli ów łabędź samotny,
Stokroć mniej niżli nieszczęsna dziewczyna,
Którą uwiódłszy zdrajca — zapomina.
Nie, ta na sercu mym nie ciąży wina!

Leilo! byłaś myśli moich treścią,
Moją rozkoszą i moją boleścią,
Tyś była cnotą, ty zbrodniami memi,
Nadzieją w niebie i wszystkim na ziemi!
Tak piękna jak ty nie była stworzona,
A jeśli jest gdzie, już nie dla mnie ona.
Nie chciałbym widzieć na ziemi i w niebie
Podobnej tobie, chyba samą siebie.
Życia mojego okropne wypadki,
Łoże śmiertelne przyzywam na świadki,
Że ciebie dotąd kocham, jak kochałem.
Ty jesteś lubym serca mego szalem.

I jej nie było — a jam z nią nie zginął!
Żyłem, lecz ból mi oddychać nie dawał,
Wąż pierś mą ścisnął, serce me obwinał,
Myśli me kąsał i zemstą napawał.
Odtąd świat cały miałem w obrzydzeniu,
Nie śmiałem zajrzeć w oczy przyrodzeniu,
Na wszystkie jego wdzięki i ozdoby
Padł całun mojej wewnętrznej żałoby!
Resztę, kapłanie, wiesz z mojej powieści,
Wszystkie me grzechy i część mych boleści:
Ale mi nie mów więcej o pokucie;
Już późno! bliskiej śmierci mam przecucie.
Chociażbym przyjął wiarę objawioną,
Czy ty odrobisz, co już raz zrobiono? —
Za łzy pociechy wdzięczny jestem tobie.
Ksiądz nie pomoże nic w mojej chorobie,
Tajnie mej duszy sam w milczeniu badaj,

Jeśli masz litość nade mną, nie gadaj.
 Gdybyś mógł wrócić życie mej Leili,
 Ja bym pokutę zaczął od tej chwili,
 Kupiłbym zaraz i msze, i odpusty,
 I modliłbym się stygnącymi usty.

Póđź do jaskini, gdy strzelcy wychwyą
 Z gniazda lwię małe, i rozmów się z lwicą,
 Spróbuj ukoić jej żalosne jęki:
 Mojej nie ulżysz, nie rozdrażniaj męki. —

* * *

W młodości latach, w szczęśliwych godzinach,
 Gdym lubił dzielić smutki i wesela,
 W mojej ojczyzny kwitnących dolinach
 Miałem — czy mam go dotąd? — przyjaciela —
 Daj mu ten pierścień, przysięgliśmy na nim
 Wspomnieć o sobie choć raz przed skonaniem.
 Wiem, że mnie kochał — chcę, by się dowiedział
 O moim zgonie — on mi przepowiedział. —
 Dziwno — on wzrokiem przeniknął proroczym
 Przed laty wszystko, co ma ze mną stać się —
 Śmiałem się — (wtenczas mogłem jeszcze śmiać się)
 Gdy on ostrzegał — nie pamiętam o czym!
 Lecz teraz myślą wyzywam na nowo
 Wzgardzone niegdyś każde jego słowo.
 Powiedz, że zgadnął — będzie mu niemiło,
 Że się proroctwo tak na mnie spełniło.
 Powiedz, że chociaż w tym wieku namiętym,

Gdyśmy wesołe przeegrali chwile,
 Lecąc po społu w niebezpieczeństw tyle,
 Wtenczas bywałem często niepamiętnym
 I roztargnionym — może obojętnym —
 Powiedz, że dzisiaj językiem zdrętwiąłym
 Za jego szczęście pomodlić się chciałem.
 Ale cóż taka modlitwa pomaga,
 Gdy winowajca za niewinnym błaga? —
 Przed ludźmi — niech on sławy mej nie broni,
 On, wiem, że dobry — przebaczy — a oni —
 Niech co chcą, mówią — sława! Cóż mi po niej? —
 Nie będę prosił, aby zgonu mego
 Nie opłakiwał — nie jestem tak dumny —
 Nie masz piękniejszej ozdoby dla trumny
 Jak łza żałosna brata kochanego.
 Pierścień ten — niech go z rąk twoich otrzyma,
 Wręcz mu i opisz, coś miał przed oczyma:
 Ciało uwiędłe, duszę zagaszoną,
 Łódź falą uczuć na step wyrzuconą,
 Zwój pism zatarty — liść z dalekiej strony
 Wichrem przygnany i mrozem zwarzony.

* * *

Tylko mi nie mów o snu przywidzeniach;
 Nie, to, mój ojczy, nie było w marzeniach.
 Kto marzy, ten śpi; ja wtenczas nie spałem,
 Jak teraz nie śpię, i zapłakać chciałem,
 Ale nie mogłem — źrenica łez głodna,
 Czułem, że była wysechła aż do dna,

Chciałem wydobyć z niej łzę, łzę jedyną,
Byłaby dziwną i miłą nowiną;
Chciałem i teraz chcę, lecz rozpacz wzbrania,
Rozpacz silniejsza niżli chęć płakania.
Nie mów pacierzy, w skutek ich nie wierzę,
Silniejsza rozpacz niż twoje pacierze.
Zbawienia nie wart jestem — i nie żądam,
Nie raj, ale spoczynku wyglądam.

Wtenczas — widziałem, ojciec — tak — tu była!
Widziałem dobrze — powstała — odżyła,
Białą, świecąca obwiana symarą,
Jak widzę teraz, tam nad falą szarą,
Gwiazdę błyszczącą przez obłok zachodni —
Ona świeciła jaśniej i łagodniej.
Dziś gwiazda świeci słabiej i tajemniej,
Jutro wieczorem wnidzie jeszcze ciemniej;
Ja, nim doczekam jej promieni drżących,
Nieczuła bryła i postrach żyjących,
Ja umrę, ojciec. — Już kończąc cierpienie
Zbiera się dusza w ostatnie westchnienie.
Tu ją widziałem, ojciec, i powstałem,
I wszystkich naszych nieszczęść zapomniałem.
I porwałem się z łoża, i objąłem,
I cóż do mego serca przycisnąłem? —
Cień był w objęciu bez tchu i bez życia,
Sercem nie czułem wzajemnego bicia!
Lecz to Leila! to jej postać była!
Kochanko moja, jak się ty zmieniła!
Spojrzałaś tylko, słowa nie wyrzekłaś,

Byłaś tak blisko i z rąk mi uciekłaś!
Lecz choć tak zimna, tak dla mnie zmieniona,
Obym cię tylko przycisnął do łona,
Całe me szczęście objąłbym w ramiona.
Niestety, marę objąłem ulotną!
Ręce opadły na mą pierś samotną —
Lecz patrz! to ona! to jej szata długa,
Jej ręka śnieżna; patrz, jak na mnie mruga
Tym czarnym okiem; włosy rozpostarła —
Nie — jam nie wierzył — ona nie umarła!
Ale on umarł, jam go sam obalił,
Jam go pochował, kamieniem przywalił —
On tu nie wróci, bo ciężka mogiła
Ciśnie go z góry. — Ty? — po coś wróciła?
Oni mówili, że ta twarz jak zorze,
Ta postać śliczna już zapadła w morze
I że się nad nią fala szumna leje.
Rybacy mówią — szkaradne to dzieje,
Chciałem powiedzieć — język mi drętwieje.

Ach! jeśli prawda, że ty wyszłaś z morza
Szukać dla siebie spokojnego łoża,
Ach, przesun mokrą dłoń przez me powieki,
Niech już ostygną, zamkną się na wieki.
Lub rękę połóż na me serce wdowie;
Czy ciebie marą, czy duchem świat zowie,
Zostań oświecać chorego wezglowie,
Odchodząc weźmij z sobą mego ducha.
Potem niech wyje szturm, niech morze bucha.

* * *

Takie me imię, takie są me dzieje.
 Samemu tobie powierzam wyznania,
 Wdzięcznie przyjmuję łzę politowania,
 Suche me oko już łez nie wyleje!

Gdy skonam, pogrzeb ubogi mnie sprawisz,
 Krzyż tylko prosty na grobie postawisz,
 Bez żadnych liter — nie chcę, by wędrowiec
 Napisy czytać szedł na mój grobowiec. —

* * *

Umarł — nie doszedł nikt po jego zgonie,
 Jak się nazywał, w jakiej świata stronie
 Jego ojczyzna; ostatnie wyznania
 Mnich tylko słyszał we chwilach skonania.

Tyle zostało o Giaurze podania,
 I o Leili, którą on postradał,
 I o Hassanie, któremu śmierć zadał.

OBJAŚNIENIA POETY

[Do tytułu:]

Giaur, niewierny; tak muzułmanie nazywają chrześcijan.

1 *Gdy was przychodziń z gór Kolonny wita.*
 Przylądek Kolonna, zwany niegdyś Sunium.

2 *Błyszczyc się róża, sultanka słowików.*

O miłośkach róży i słowika poeci wschodni często wspominają.

3 *Zabrzmi gitara morskiego przechodnia.*

Na morzach greckich często w noc pogodną słychać dźwięki gitary. Ulubiony to instrument majtków greckich, przy jego dźwięku śpiewają i tańczą.

4 *Kto na śmiertelnym oglądał postaniu.*

Zapewne rzadko który z czytelników widział na własne oczy obraz tu opisany. Kto widział, musi pamiętać, jak smutne czyni wrażenie ta dziwna piękność, która kilka godzin po zgonie zdobi jeszcze twarz martwą, ale kilka godzin tylko. Godna uwagi, że człowiek zabity kulą ma pospolicie na twarzy wyraz żalości, chociażby za życia był śmiałego i dzikiego charakteru; przeciwnie, postać, człowieka przebitego sztyletem wyraża boleść i tchnie dzikością.

5 *Niewolni — gorzej — słudzy niewolników.*

Ateny za panowania tureckiego były własnością Kiziar—agi, niewolnika serajowego i dozorca kobiet haremu. Eunuch rządził rządcą Aten.

6 *Że to piratów statek lub Majnotów.*

Majnoci, mieszkańcy dawnej Lakonii; czyli rzeczywiście pochodzą od Spartanów? — wiele o tym pisali uczeni.

7 *Przecież błysk widać każdej tofaiki.*

Tofaika, strzelba turecka.

8 *Bo dziś zachodzi słońce Ramazanu,*

Dziś Bajram święcą wyznawcy Koranu.

Ramazan jest to wielki post turecki; Bajram — wielkie święto, które obchodzą na kształt naszego karnawału. O zachodzie słońca początek Bajramu ogłasza się wystrzałem z harmaty; potem trwają całą noc iluminacje meczetów i wystrzały wiwatowe różnej broni.

9 *Chyży jak dziryty.*

Dzeryd jest to pocisk na końcu tępy. Jezdni muzułmańscy rzucają go z konia, bardzo silnie i trafnie; jest to ich ulubiona zabawa; nie wiem, czy można ją nazwać zabawą rycerską, bo najzręczniejsi dzerydyści w Konstantynopolu są czarni rzezańcy. Pamiętam też Mameluka ze Smyrny, który w tym igrzysku Turków zwyciężał.

10 *Przyszedł i odszedł jak wicher Symomu.*

Simum, wiatr pustyni, śmiertelny wszystkiemu, co tchem swoim owionie. Poeci wschodni wiele o nim piszą i różne mu dają nazwiska.

11 *Za chleb i za sól podziękować Bogu.*

Na Wschodzie, skoro gospodarz chleb z podróżnym rozłame i solą z nim podzieli się, już go przyjmuje za gościa; chociażby w gościu poznano nieprzyjaciela, już osoba jego jest poświęcona i od wszelkiej krzywdy bezpieczna.

12 *Gość płacze dobrodzieja, płaczą słudzy pana.*

Ludzkość i litość dla ubogich nakazana jest Koranem muzułmanom. Wyznać należy, że znaleźć można często przykłady tych cnót między Turkami. Zwyczajnie, jeżeli kto chce chwalić Turka, wysławia naprzód jego szczodrość, a potem męstwo.

13 *I w srebrze kutych pochwach atagany.*

Atagan jest to długi sztylet, który Turcy obok pistoletów na pasie zawieszają. Pochwy atagana są pospolicie z metalu, często ze srebra, a u bogatych wyłaczane lub szczerzłote.

14 *Zapewne emir, bo w zielonym stroju.*

Pomiędzy muzułmanami tylko ci, którzy uchodzą za potomków Mahometa, mają prawo nosić suknie zielonego koloru.

15 *„Ho! kto ty? — „Salem! waszej jestem wiary”.*

Aleikum salam znaczy: pokój z tobą. Tymi wyrazami Turcy witają się między sobą. Chrześcijan pozdrawiają słowem: Uurlarula — szczęśliwa droga, albo: [saban] hiresem, saban serula — dzień dobry, dobry wieczór.

16 *Jak król motylów, za wiosny powrotem.*

Motyl kaszemirski, najpiękniejszy i najrzadszy z motylów.

17 *Jest jak skorpion opasany żarem.*

Powszechne jest mniemanie, że skorpion otoczony żarem sam siebie żądłem zabija. Naturaliści sprzeczną się dotąd, czy owad popełnia samobójstwo dobrowolnie, czy tylko, wpadłszy w konwulsje, mimowolnym ruchem żądła ranę sobie zadaje. Dla dobra skorpionów życzyć by należało, aby to pytanie rozstrzygniono. Skoroby raz uznano, że skorpiony są katonami owadów, zostawiono by przecie w pokoju tych męczenników historii naturalnej.

18 *Przy bladym świetle wschodzącej Fingary.*

Fingary jest Febe, czyli księżyc wschodnich narodów.

19 *Jako z Diemszyda rubinów ognistych.*

Sławny rubin sułtana Dżemszyda w powieściach wschodnich zowie się Szebcerag, pochodnią nocy, pucharem światłości etc.

20 *Przechodził ostre mosty Alsyratu.*

Alsyrat, podług mitologii wschodniej, jest to most tak wąski jak nitka pajęczą; na tym moście będą musieli Turcy przechodzić do raju; zamiast rzeki ciągnie się u spodu przepaść piekielna. Do tego przejścia można by zastosować ów Wirgiliusza *facilis descensus Averni*. Pod tym mostem pajęczym ma być drugi, jeszcze węższy, dla chrześcijan i żydów.

Persowie szczególnie boją się owego mostu: „Jeżeli biedny Pers (powiada Chardin) poniesie krzywdę, której dochodzić na tym świecie nie widzi, sposobu, wtenczas apeluje ciemżyciela na sąd straszny. Odpłacisz ty, woła, na moście Pal—Serho; tam ci podstawię nogę albo uczepię się do poły twoich sukien. Widziałem nieraz, że ciemżyciel, lękając się takiego aresztu, przepraszał pokrzywdzonego; i sam nieraz używałem skutecznie podobnej groźby” etc.

21 *Czyż taka piękność jest prochem bez ducha?*

Mylne to jest mniemanie, że Mahomet nie zostawia kobietom nadziei przyszłego życia; owszem, wyznacza im na przytułek trzecią część raju. Wszakże niektórzy wykładacze Koranu, wykręciwszy tekst Proroka, nie przyznają kobietom duszy nieśmiertelnej.

22 *Jako monarcha ptaków Frangestanu.*

Frangestan, kraj Czerkasów.

23 *... już krzyczą: „Bismiliach!”*

Bismillach, w imię Boga; od tych słów zaczynają się prawie wszystkie rozdziały Koranu i wszystkie modlitwy i dziękczynienia muzułmanów.

24 *Wiec wściekły wąsy od gniewu najeżył.*

Zwyczajne symptoma gniewu u Turków. W roku 1809, na audiencji dyplomatycznej, nagle wąsy Kapudana baszy najeżyły się jak u tygrysa; drogmani pobledli od strachu, szczęściem wąs powoli opadł i obwisnął; zostało więc na karkach może tyle głów, ile było włosów w owych wąsach.

23 *Poznałem czarne, złowrogie źrenice.*

O złych oczach i urzekaniu złym okiem powszechna jest wiara między ludem w Turcji i w wielu innych krajach.

26 *Gdzie wiszą szmaty jego palamporu.*

Palampor, szal, który noszą baszowie i znakomite osoby.

27 *Turban w kamieniu prostym wyrzezany.*

Takie są proste nagrobki Turków. Często spotyka je podróżny w dzikich ustroniach pomiędzy skałami; oznaczają mogiły poległych w czasie buntu albo zamordowanych od zbójców.

28 *Słyszał wołanie: „Illa—hu, Alla—hu!”*

Illa—hu, Alla—hu, tymi słowami kończy się wzywanie na modlitwę, czyli izan obwoływany z wież minaretów.

29 *Monkir, swą kosą rozerwie na ćwierci.*

Monkir i Nekir, podług muzułmanów, są to wielcy inkwizytorowie ciągnący śledztwo z nieboszczyków. Jeżeli z odpowiedzi grzesznika przekonają się o jego winach, wtenczas Monkir kosą ciągnie go do góry, a Nekir maczugą na dół strąca.

30 *Przed tron Eblisa twą przekłętą duszę.*

Eblis, Pluton muzułmanów.

31 *Lecz wprzód zostaniesz na ziemi upiorem.*

Wiara w upiory powszechna na Wschodzie. Turcy zowią je wardulacha; Grecy równie ich się boją i mnóstwo o nich prawią strasznych powieści.

32 *Jak się ten zowie kalajor ponury.*

Kalajor lub kalojer, mnich grecki.

33 *On wiedział o tym od swoich proroków.*

W wielu krajach, na przykład w Szkocji, są ludzie, którzy mają posiadać wzrok podwójny: przewidywać przyszłe wypadki. W Turcji są niektórzy obdarzeni duchem prorockim i słyszący przyszłe postrzały.

34 *Ona śpi, falmi nakryta chłodnemi!*

Przed niewiele laty żona Muchtar baszy oskarżyła syna swego o niewierność. Muchtar wywiadywał się o nazwiska kochanek syna. Wymieniono mu dwanaście najpiękniejszych kobiet Janiny. Basza rozkazał je tejże nocy pochwycić, wsadzić w skórzane wory i wrzucić do morza. Janczar, obecny tej egzekucji, zapewniał mnie, że żadna z ofiar nie wydała krzyku ani pokazała znaku trwogi. Za mojej bytności w Grecji śpiewano pieśni o Frozynie, najpiękniejszej z owych Greczynek.

Historia o Giaurze i Leili jest nieco dawniejsza; słyszałem ją od jednego z tych opowiadaczy, którzy po kawiarniach wschodnich prawią różne powieści wierszem i prozą. Żałuję, że niewiele spamiętałem ułamków oryginału; porobiłem różne odmiany, wmieszałem własne dodatki; czytelnik je rozezna po stylu, ubogim w obrazy orientalne.

Objaśnienia czerpałem z Herbelota i ze sławnej powieści *Kalif Watek*.

Podstawa tekstu: Adam Mickiewicz, Dzieła. T. II Powieści poetyckie, Warszawa 1949, s. 201

Opracowanie: Marek Adamiec

Gdańsk 2002